Foto J. Dąbrowski

Tatuś moim przyjacielem

MAM 15 LAT i też mam wiele swoich kłopotów, takich samych jak moi rówieśnicy. Ale z kłopotów zawsze zwieram się tatusiowi, którego bardzo kocham. Po prostu jest człowiekiem dużo rozumiejącym. Jeśli mam zmartwienie to nie wstydzę się i nie lękam opowiedzieć o nim tatusiowi. Tatuś mi wszystko wytłumaczy i jest dobrze.

Mamy wspólne zainteresowania, lubimy zbierać znaczki. W domu zebrała się spora kolekcja. Znaczki to nie wszystko, mamy wiele innych wspólnych tematów, które nas pasjonują.

Dobrze rozumiem, kiedy wielu nastolatków uskarża się, że rodzice ich nie rozumieją i nie podoba się im dzisiejsza nowoczesność młodzieży. Ale starajmy się i my zrozumieć rodziców, okażmy im serdeczność. Nie lękajmy się ich i nie bądźmy skryci.

Niech ten list będzie zachętą dla skrytych nastolatków, których jest tak dużo. **(rj)**

Krystyna z Gryfic

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 35 (1609) Warszawa, wtorek, 2 maja, 1967 r. Cena 50 gr

HARCERZ ZAWSZE sprawny i śmiały

HARCERZ jest taki na co dzień — w domu i w szkole, na zbiórce i w gronie kolegów na podwórku. Sprawny, a więc zaradny w każdej sytuacji, śmiały — a więc nie tchórz, i nie ten, co zabłądzi, bo nie zapyta...

Wiosna już w pełni. Czas wypraw, biwaków, wycieczek. Zdarzy się, że nie raz i nie dwa, otrzymasz od drużynowego czy zastępowego samodzielne zadanie do wykonania, zdany na własne siły, na wykazanie się w praktyce zdobytą harcerską wiedzą i własnym doświadczeniem życiowym. Nie wątpimy, że śmiało potrafisz podjąć decyzję, że wytrwale potrafisz dążyć do wytkniętego celu.

Kilka dni temu zamieściliśmy w „Świecie Młodych" poradnik dla sprawnych i śmiałych. Czy przeczytałeś uważnie cały „Trop", czy skorzystałeś z zawartych w nim rad? Weź ten poradnik z sobą na najbliższą zbiórkę. Na pewno przyda się całemu zastępowi do zorganizowania niejednej gry, zabawy, ćwiczenia pod hasłem: **harcerz jest sprawny i śmiały.**

Foto CAF

PANCERNI W OPOLU

KILKA DNI TEMU tysiące opolan, a wśród nich setki harcerzy witało bohaterów telewizyjnej serii filmowej „Czterej pancerni i pies". Podczas spotkania, na opolskim stadionie „Gwardii", harcerze, którzy wyróżnili się w akcji bezpieczeństwa ruchu drogowego, nagrodzeni zostali hełmofonami. Fotoreporter uchwycił właśnie kamerą moment wręczania harcerzom hełmofonów przez ładowniczego Gustlika z czołgu „Rudy-102".

Foto: CAF

ODZNACZENIE DLA SZARIKA

ŁÓDZKI ODDZIAŁ Polskiego Związku Kynologicznego przyznał dyplom i honorową odznakę pod nazwą **„Pies-towarzysz"** bohaterowi serii „Pancernych", Szarikowi. Odznaka ta przyznawana jest psom, które wykazały szczególne umiejętności lub odwagę w służbie człowieka.

Do tej pory oddział łódzki przyznał 4 takie odznaki. Szarik jest piąty. Już jest gotowa dla niego metalowa plakietka z ozdobnym łańcuszkiem. Szarik otrzyma ją podczas specjalnej imprezy.

Ciekawe

Najstarsze miasto świata

● Najstarszym ze znanych archeologom miast świata jest Jerycho w Jordanii. Na podstawie przeprowadzonych ostatnio badań stwierdzono, że miasto istniało już na siedem tysięcy lat przed naszą erą. Ustalono też, że już wtedy było otoczone obronnymi murami i liczyło blisko 3 tysiące mieszkańców.

Ojczyzna kanarków

● Czy wiecie, że hodowla kanarków rozpowszechniła się w Europie 600 lat temu, po podbiciu Wysp Kanaryjskich przez Hiszpanów? Wkrótce ojczyzna tych śpiewających ptaków została doszczętnie z nich ogołocona i dziś spotkać tam można jedynie mieszańce.

Chleb sprzed 1400 lat

● W szwedzkiej miejscowości Orlunda archeologowie znaleźli kawałek chleba, którego wiek oszacowali na 1400 lat. Umieszczony on był razem z resztkami kości w glinianym garnku. Zdaniem archeologów jest to najstarszy chleb znaleziony dotychczas na świecie.

Bohater naszych czasów

Dwukrotny bohater Związku Radzieckiego, inżynier, pilot-kosmonauta, pułkownik Władimir Komarow, zginął podczas powrotu z Kosmosu, dnia 24. IV. 1967 roku. Foto CAF

10 lat temu, 4 października 1957 roku, rozpoczęła się na Ziemi nowa era — era podboju Kosmosu. Odwieczne marzenie ludzkości — loty do planet, stały się coraz bardziej realne. Wielu już kosmonautów odbyło lot wokół Ziemi. Jednym z nich był płk Władimir Komarow.

Urodził się 16.III.1927 r. w Moskwie, w rodzinie robotniczej. W roku 1959 W. Komarow ukończył Akademię Inżynierów Lotnictwa Wojskowego im. Żukowskiego. Od tego czasu stał się doświadczonym pilotem - oblatywaczem nowych typów maszyn. W tej trudnej pracy wykazywał odwagę, bystrość i szybki refleks. Te cechy jego charakteru zadecydowały, że w 1960 roku powołany został do oddziału kosmonautów ZSRR. W cztery lata później odbył swój pierwszy lot kosmiczny, jako dowódca trzyosobowej załogi „Woschoda-1".

23 kwietnia br. W. Komarow otrzymał nowe, pionierskie zadanie — sprawdzenie w locie kosmicznym statku „Sojuz-1". Powierzone zadanie wykonał i w czasie powrotu na Ziemię, tuż przed lądowaniem, nastąpiła awaria spadochronu. „Sojuz-1" opadł na ziemię z dużą prędkością, powodując tragiczną śmierć kosmonauty.

Wydarzenie to okryło żałobą wszystkich ludzi na ziemi — zginął człowiek odważny, który w imieniu nas wszystkich sięgnął po tajemnice Kosmosu.

Bohaterska śmierć Władimira Komarowa uświadamia nam, że walka o opanowanie innych, nieznanych światów, wymaga od Ziemian ofiar i poświęcenia. W. Komarow oddał swe życie dla nauki, dla dobra nas wszystkich.

JESTEM PRZEKONANY, że większość z was nie wie nic o tym trzecim „kluczyku", którym uczeni mają nadzieję „otworzyć" przed nami nie jedną z zagadek Wszechświata.

Pierwszym kluczem — najstarszym — są wszelkiego rodzaju obserwacje astrofizyczne obiektów niebieskich, prowadzone z Ziemi. Drugim kluczem są badania prowadzone za pomocą sztucznych satelitów, których

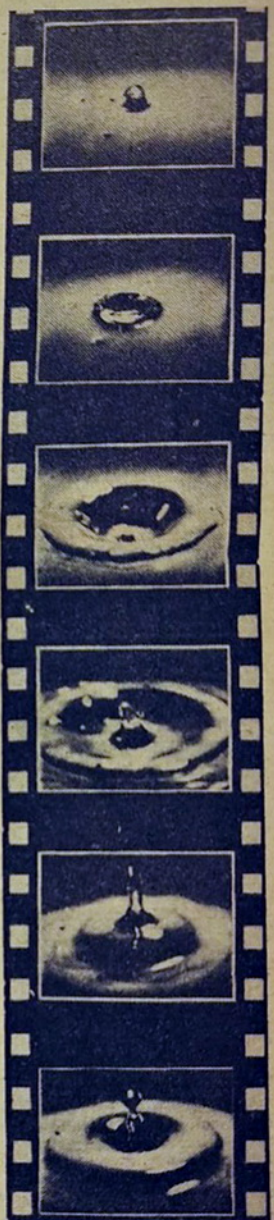

Proces tworzenia się księżycowych gór pierścieniowych według hipotezy Aleksandra Benewoleńskiego został sfilmowany specjalną metodą. Aparat filmowy, robiący kilkaset zdjęć na sekundę, zarejestrował wszystkie etapy sztucznego powstawania krateru. Na powyższym zdjęciu widzicie — poczynając od górnego kadru — jak mała kulka imitująca spadający meteoryt, tworzy krater z charakterystycznym wzgórkiem po środku.

Sołtysi jak szeryfowie

WSZYSCY sołtysi w woj. zielonogórskim otrzymają wkrótce specjalne odznaki, które będą podkreślać wagę tego urzędu. Podobnie jak gwiazda amerykańskiego szeryfa odznaka sołtysa noszona jest podczas sprawowania czynności urzędowych na lewej piersi. Jest to koło z białego metalu o średnicy 44 mm, na czerwonym tle biały stylizowany orzeł piastowski, a nad nim napis „sołtys".

Odznaki otrzymali już sołtysi z powiatu Gorzów Wlkp. Województwo zielonogórskie jest pierwszym w kraju, które wprowadziło tego rodzaju odznaki dla sołtysów.

W artykule o Oświęcimiu, który czytaliście w nr 23 wkradł się błąd odnośnie daty wyzwolenia obozu. Oczywiście obóz oświęcimski wyzwolony został 27 stycznia 1945 r., a nie, jak mylnie zostało wydrukowane, w 1946 r.

Modelarze z Głowna

● Zwykle zaczyna się od marzeń o lataniu. Później przychodzi żmudna wymagająca wiele cierpliwości i dokładności praca nad wycinaniem i sklejaniem najprostszych modeli, które z czasem przybierają coraz doskonalsze kształty. Od szybowców — do modeli z napędem silniczkowym.

Miłośnicy modelarstwa lotniczego w Głownie pod Łodzią mają do swojej dyspozycji doskonale wyposażoną pracownię. Zdobyli już wiele nagród w zawodach modeli latających i latawców. Instruktorem w tej modelarni jest były pilot sportowy inż. Lemieszuk.

Foto: CAF

Samolotem po jeziorach

● Mechanicy Żeglugi Mazurskiej w Augustowie przygotowali oryginalny środek lokomocji — jest nim samolot, u którego role kół spełniają dwie łodzie-pływaki. Ten wodny wehikuł już w tym sezonie będzie kursował na szlaku Jezior Augustowskich, rozwijając maksymalną szybkość 80 km na godz.

JESTEM NAUCZYCIELKĄ

CZĘSTO w wolnych chwilach przeglądam „Świat Młodych", który kupują zawsze moje czternastolatki: Lola i Andrzej. Szczególnie interesują mnie dyskusje w „Klubie Nastolatków".

Jestem nauczycielką.

Kiedyś, gdy pytałam VIII klasę o naszych współczesnych matematyków, spotkało mnie ogromne rozczarowanie. Żaden z ambitnych uczniów nie znał ani jednego nazwiska. A przecież klasa ta uchodzi wśród naszej szkolnej młodzieży za bardzo nowoczesną.

Ktoś reprezentujący tę nowoczesną grupę ośmielił się napisać na szkolnej mapie (obok podpisu rzeki Niemen) Czesław Wydrzycki. Wiele podobnych napisów spotyka się wyrytych na ławkach i sprzętach szkolnych. A przecież ci uczniowie niszczący pomoce naukowe również nazywają siebie nowoczesnymi.

Bardzo podobają mi się wnioski z waszej dyskusji, że człowiek nowoczesny to człowiek wszechstronny. Nastolatki nie tylko powinny znać nazwy zespołów big-beatowych, ale również mieć wiadomości z przeróżnych ciekawych naukowych dziedzin.

Czasem młodzieży wydaje się, że my, starsi, zabraniamy im nowoczesności. Jest jednak inaczej. Ja nie zabraniam mojej córce noszenia mini-spódniczki, ani synowi nowoczesnych spodni itp. Jednak staram się, aby wszystko miało jakiś umiar...

LIDIA ORZECHOWSKA

Trzeci klucz do poznania tajemnic KOSMOSU

wystrzelono w przestrzeń kosmiczną ponad 20 sztuk! Niektóre z nich dotarły w okolice Wenus i Marsa, nie mówiąc już o Księżycu, na powierzchni którego wylądowało nawet kilka aparatów.

Mimo tak potężnych środków badawczych, jakimi dziś dysponują uczeni, stoimy właściwie dopiero na progu poznania Kosmosu. Wiele zjawisk ciągle jest nie rozszyfrowanych.

A trzeci kluczyk? Może on pomoże nam rozwikłać zagadki? Kluczem tym są tzw. badania modelowe obiektów kosmicznych, imitujące ich naturalne wzorce.

KSIĘŻYCOWY KRATER NA STOLE

POWIERZCHNIA Księżyca pokryta jest mnóstwem gór pierścieniowych, większych i mniejszych, zwanych powszechnie kraterami. W powiększeniu teleskopowym Srebrny Glob wygląda jak twarz człowieka po przebytej ospie.

Jak powstały kratery? Niestety, nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedni uczeni twierdzą, że jest to pozostałość po działalności wulkanicznej, drudzy uważają natomiast, że kratery powstały w rezultacie uderzeń meteorytów. Dodatkowa trudność wyjaśnienia tej zagadki polega na tym, że jedne kratery posiadają pośrodku niewielki wzgórek, a inne takiego wzgórka nie mają.

Czy może utworzyć się podobna górka w samym centrum krateru od uderzenia meteorytu? Odpowiedź na to pytanie postanowił dać astronom-amator z Iwanowa, Aleksander Benewoleński. Eksperyment jego był niezwykle pomysłowy.

Na płaską deskę nałożył warstwę gipsu zmieszanego z wodą. Kiedy papka gipsowa zaczęła zastygać, Benewoleński rozpoczął „bombardowanie" jej kamykami, zrzucanymi z różnych wysokości. Zastygająca papka stanowiła sztuczny księżycowy grunt, natomiast kamienie imitowały spadające meteoryty.

Jak myślicie, co powstało w gipsowej masie? Okazuje się, że w większości przypadków dziury w gipsowej warstwie przypominały swym kształtem księżycowe kratery, nawet z charakterystyczną górką pośrodku. Ale maleńkie sztuczne kratery raz tworzyły w swym wnętrzu wzgórek, a innym razem nie. Od czego to zależało?

Przyczyna tkwiła w samym sztucznym gruncie księżycowym, czyli gipsowej masie, i zależała od stopnia jej stwardnienia w momencie uderzenia meteorytu.

Pod uderzeniem szybko lecącego ciała twardy materiał na krótki czas tracił swą zwartość przyjmując własności cieczy. Znaczy to, że tworzenie się centralnych wzgórków w księżycowych kraterach zależne było od zwartości gruntu na danym fragmencie księżycowej powierzchni. Jak wiadomo nie cała powierzchnia Srebrnego Globu jest jednakowo „twarda". Stąd też, jedne kratery mają w swym wnętrzu wzgórki, inne nie.

Eksperymenty astronoma-amatora na pierwszy rzut oka wydające się być dziecinną zabawą, potrafiły jednak świetnie wyjaśnić jedną z ważnych tajemnic naszego kosmicznego sąsiada.

— Jak pan wpadł na pomysł z tymi sztucznymi meteorytami? — zapytał ktoś Benewoleńskiego.

— Jest to historia bardzo banalna — mówi astronom. — Proszę popatrzeć, co się dzieje na powierzchni wody, gdy spadnie na nią kropla. Najpierw utworzy się lej, ale natychmiast „dno" jego zaczyna się podnosić tworząc następnie wzgórek. Patrzyłem na to zjawisko wiele razy, aż kiedyś skojarzyło mi się z księżycowymi kraterami. Spróbowałem z gipsem i kamieniami, no i udało się!

JAKA JEST ZIEMIA KSIĘŻYCA?

OD WIELU LAT profesor Wsiewołod Szaronow z Uniwersytetu Leningradzkiego pragnął stworzyć sztucznie księżycową ziemię, podobną własnościami do powierzchni Srebrnego Globu. Idea piękna, lecz bardzo trudna do zrealizowania. Profesor zaczął szukać wśród ziemskich skał takich próbek, które odbijałyby światło podobnie jak księżycowy grunt.

W czasie tych poszukiwań uczony zbadał setki rodzajów skał, kamieni, w tym i różne rodzaje lawy wulkanicznej. Badał popiół i żużel przywiezione specjalnie z Kamczatki i Wysp Kurylskich. Żadna z ziemskich próbek nie odpowiadała jednak księżycowemu gruntowi. Profesor Szaronow postanowił stworzyć ją sztucznie w swoim laboratorium. I znowu długie miesiące eksperymentów. Wreszcie otrzymał sztuczną „ziemię", która odbijała promienie słoneczne dokładnie tak, jak odbija je powierzchnia Księżyca. Była to ciemna, porowata masa przypominająca trochę żużel.

Badając stworzoną przez siebie „ziemię" profesor stwierdził, że może ona wytrzymać nawet znaczne ciśnienie. Ciekawe, że te jego wywody potwierdziła „Łuna-9" — automatyczna stacja radziecka, która ubiegłego roku wylądowała na Srebrnym Globie.

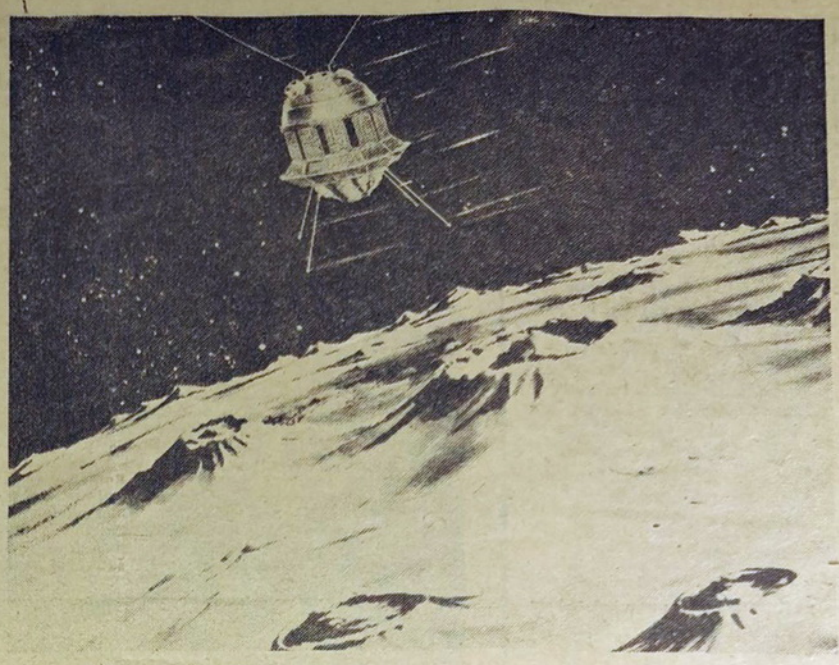

Rysunek ten przedstawia fragment powierzchni Srebrnego Globu z górami pierścieniowymi — kraterami. Nad powierzchnią widać również radziecką stację automatyczną.

SZTUCZNY MARS

JEDNA z największych zagadek, która do dziś wywołuje spory i zażarte dyskusje, dotyczy istnienia życia na Marsie. Mimo setek przeprowadzonych badań nikomu nie udało się wykryć na Marsie choćby nawet roślinności. Ale istnienie życia w pojęciu uczonych to również bakterie, wirusy i temu podobne najdrobniejsze żywe organizmy.

— Skoro na prawdziwego Marsa polecieć jeszcze nie można, aby sprawdzić, co tam właściwie jest, zbudujemy jego sztuczny model — postanowili uczeni. I zbudowali. Sztuczny Mars nie krąży jednak w Kosmosie, a znajduje się na Ziemi. Jego adres brzmi: Moskwa, ul. Związków Zawodowych 7. W tym domu mieści się bowiem Instytut Mikrobiologii wraz z laboratoriami, w których odpowiednio dobrana aparatura imituje warunki marsjańskie.

Za szkłem pojemnika w laboratorium znajduje się inny świat. Panująca tam temperatura rzadko przekracza minus 20 st., za to często jest jeszcze niższa i dochodzi do 60 st. zimna. Zgodnie z ostatnimi danymi, otrzymanymi przez uczonych amerykańskich, na Marsie nie ma prawie wody. A więc i w szklanym pojemniku imitującym warunki na tej planecie, panuje niezwykła susza. Tlenu również prawie nie ma. Zapalająca się i gasnąca lampa ksenonowa, obficie wysyłająca promienie ultrafioletowe, zastępuje Słońce widziane z powierzchni Marsa.

I mimo tak ciężkich warunków, niektórym typom bakterii udało się przetrwać w tym sztucznym i surowym klimacie marsjańskim. W ogóle bakterie są najbardziej odpornymi istotami żyjącymi. Znaleziono kiedyś żywe bakterie nawet w sercu reaktora atomowego.

Oczywiście sztuczny Mars nie imituje dokładnie warunków panujących na Marsie prawdziwym. Tym niemniej eksperyment radziecki potwierdził wcześniejsze przypuszczenia o możliwości przetrwania na Marsie prymitywnych organizmów.

Przy okazji tych badań stwierdzono, że bakterie zawierające dużo pigmentu łatwiej znoszą działanie zabójczych promieni ultrafioletowych. Nie wykluczona jest więc możliwość, że oglądane z Ziemi zmiany kolorów powierzchni Marsa — przypisywane dawniej marsjańskiej roślinności — pochodzą od żywych mikroorganizmów. A może właśnie to są ci tajemniczy Marsjanie?

ST. BOROWIECKI

PODCZAS z górą 30-letniej działalności sportowej i dziennikarskiej poznałem wielu piłkarzy światowej sławy. Osobiście znałem angielskiego fenomena boisk — Stanleya Matthewsa, który mając 50 lat jeszcze grał w I-ligowej drużynie, poznałem Brazylijczyka Pelego i Argentyńczyka Labrunę, Francuza polskiego pochodzenia Kopaczewskiego i naturalizowanego Hiszpana di Stefano, Rosjanina Jaszyna i Włocha Mazzolę, węgierskiego bombardiera Puskasa i pracowitego jak mrówka Czechosłowaka Masopustę. Wyliczam nazwiska tylko bardziej znanych współtwórców potęgi futbolu w swoich krajach, a więc tych, którzy na pewno przejdą do światowej historii tej dyscypliny sportu.

O tych najsłynniejszych postaram się opowiedzieć w kilku artykułach, wybierając przede wszystkim współczesnych nam bohaterów europejskich i światowych stadionów. Aby w tych opowiadaniach zachować jakiś logiczny porządek, przedstawiać będę naszych bohaterów według pozycji, na których grają w swoich drużynach, tj. bramkarzy, napastników, obrońców i wreszcie pomocników, czyli tych, którzy — jak mówią fachowcy piłkarscy — „robią grę" i decydują o obliczu każdego zespołu. Sądzę, że taka kolejność odpowiadać będzie najbardziej waszym zainteresowaniom.

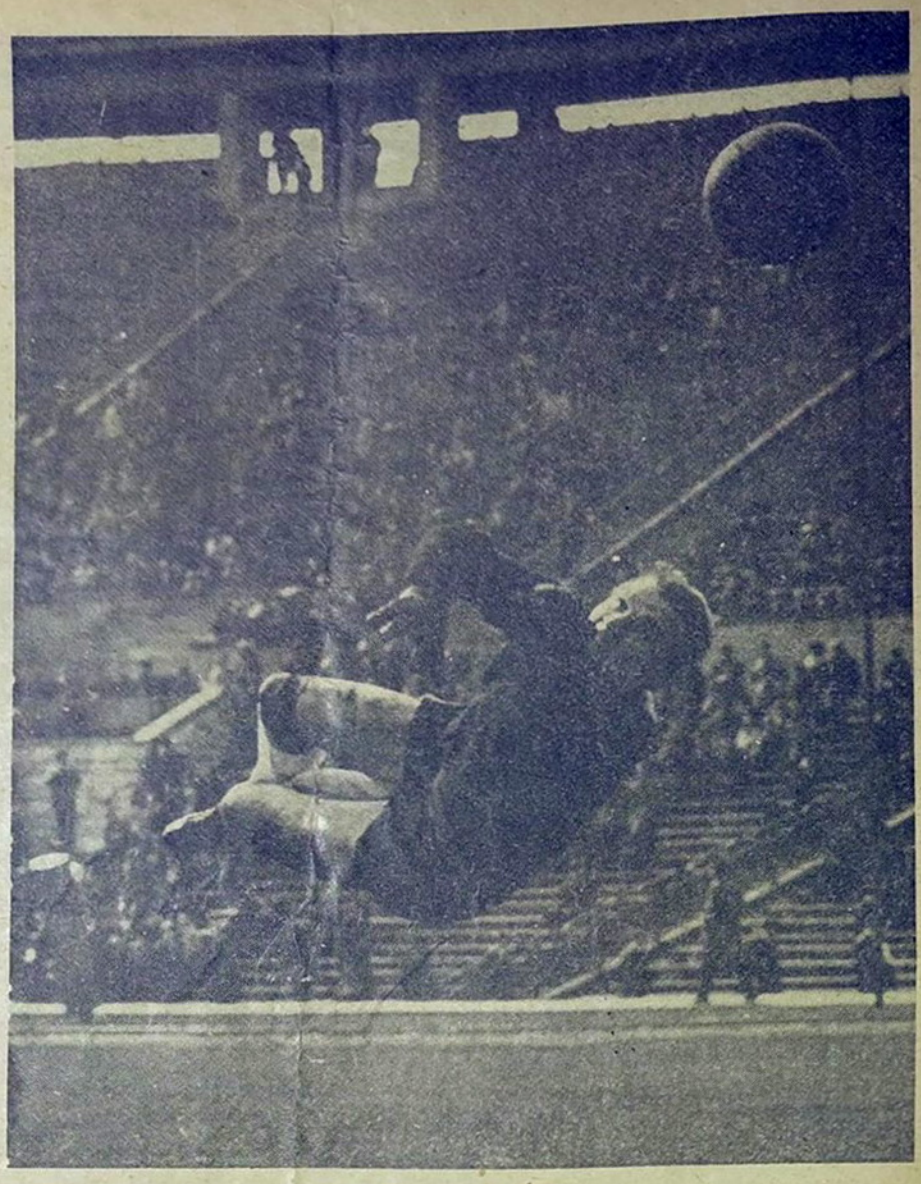

NAJWIĘKSI PIŁKARZE NASZYCH CZASÓW (1)

„CZARNY TYGRYS" i „ŻÓŁTA PANTERA"

ILEŻ TO RAZY, grając „na budzie" naszej podwórkowej drużyny marzyliśmy o tym, aby zostać sławnym bramkarzem lub chociaż dostać się do ligowego klubu i obronić wszystkie strzały? Któż z nas nie chciał pójść w ślady legendarnego Charlesa Granta, o którym tak ładnie napisał Aleksander Reksza w swojej książce pt. „Wielka gra"? Ten Charles Grant był Polakiem i naprawdę nazywał się Karol Jankowski, a cudzoziemskie imię i nazwisko przywiózł z sobą z Południowej Ameryki, dokąd jego rodzice wyemigrowali „za chlebem".

„Czarny Tygrys" z Moskwy

PRAWIE każdy ze znanych i sławnych obecnie bramkarzy rozpoczynał swoją karierę podobnie jak wy na podwórku, na szkolnym boisku, na łące lub niezabudowanych placykach.

Tak rozpoczynał ją i największy bramkarz naszych czasów Lew Jaszyn. I on krwawił sobie łokcie i kolana na twardej i nierównej ziemi, on także chował przed matczynymi oczami pozbijane palce nóg i rąk. Stosunkowo późno, bo w wieku 16 lat, spełniły się jego chłopięce marzenia — przyjęto go do prawdziwego, moskiewskiego klubu, do Dynamo. Dziś ma już 38 lat, a swego klubu nie opuścił nawet na miesiąc. Pozostał mu wierny i wdzięczny za to, że pomógł mu w osiągnięciu celu, o jakim kiedyś tylko śnił w chłopięcych marzeniach.

Argentyńskie gazety nazwały go „Czarnym Tygrysem". Fachowcy wyrażają się o jego grze i postawie na boisku w samych superlatywach, nierzadko używając słowa „fenomen". W r. 1963 wybrany został przez uczestników dorocznej ankiety francuskiego tygodnika „France Football" najlepszym piłkarzem Europy. To bardzo wyjątkowe wyróżnienie, ponieważ na światowej giełdzie piłkarskiej najbardziej ceni się doskonałych napastników, a prawie nigdy bramkarzy.

Jaszyn grał 71 razy w reprezentacji Związku Radzieckiego, 3 razy w reprezentacji Europy i 1 raz w reprezentacji świata, nie licząc dziesiątków meczów reprezentacji Moskwy, nieoficjalnych spotkań międzynarodowych oraz setek występów w klubowej drużynie Dynamo. Grał na wszystkich kontynentach świata i wszędzie wzbudzał zachwyt swoją klasą i fenomenalnymi interwencjami. Jemu też niewątpliwie zawdzięcza reprezentacja ZSRR wiele w odniesieniu licznych sukcesów międzynarodowych.

Pojedynek z Sanfilippo

W ROKU 1961 podczas meczu Argentyna — ZSRR, w Buenos Aires Jaszyn grał jak w transie. 100 tysięcy widzów na stadionie podziwiało i nagradzało jego wspaniałe parady burzliwymi oklaskami, a równocześnie bardzo pragnęło by przepuścił on chociaż jeden strzał, nawet gdyby ten strzał nie dawał reprezentacji Argentyny upragnionego zwycięstwa. W ich drużynie bowiem grał ulubieniec publiczności, bożyszcze argentyńskich kibiców, jeden z najlepszych napastników południowo-amerykańskich — Sanfilippo. Ten Sanfilippo strzelał zawsze bramki i był wielkim rywalem Pelego na tamtym kontynencie (z powodu złamania nogi nie zrobił jednak takiej kariery jak Pele).

Otóż ten Sanfilippo usiłował pokonać Jaszyna różnymi sposobami: posyłał na bramkę ZSRR to dalekie górne strzały, to zaskakujące „szczury" po rogach. Każdy z nich jednak stawał się łupem „Czarnego Tygrysa" z Moskwy. Ten przydomek nada-

Lew Jaszyn w swojej słynnej czapce broni bramki. Rzadko się zdarza, by musiał wyciągnąć z niej piłkę...

...A tak wygląda w „cywilu" najlepszy bramkarz świata, Lew Jaszyn, zwany „Czarnym Tygrysem".

li Argentyńczycy Jaszynowi, pragnąc podkreślić jego fantastyczny refleks, tygrysia zwinność, lekkość i sprężystość ruchów: czarny kolor zaś wzięli od barwy jego kostiumu. Jaszyn gra bowiem zawsze ubrany na czarno od swetra po buty.

W pewnym momencie doskonałemu napastnikowi argentyńskiemu udało się przejść obronę radziecką i stanąć oko w oko z Jaszynem w odległości zaledwie 5 — 6 metrów. Błyskawiczny zamach prawej nogi i silny strzał w dolny róg zmusiłby w tej sytuacji do kapitulacji nawet 2 bramkarzy stojących w jednej bramce. Jaszyn przewidział jednak kierunek strzału, lecz, nie mając szans skutecznej interwencji rękami, wyrzucił nogę tam, gdzie spodziewał się piłki. Publiczność zamarła. Piłka strzelona z olbrzymią siłą zamiast znaleźć się w siatce, natrafiła na but Jaszyna, wyskoczyła w górę i, zatoczywszy duży łuk, ominęła bramkę nad poprzeczką.

Sanfilippo padł na murawę obok wyciągniętego „w szpagacie" Jaszyna i bił ze złości pięściami o ziemię. Kiedy Jaszyn wstał i po koleżeńsku podniósł rywala z ziemi, Argentyńczyk chwycił w obie ręce prawą dłoń Jaszyna w dużej czarnej rękawicy i długo nią potrząsał, gratulując niebywałego wyczynu.

Reprezentacja ZSRR wygrała w Buenos Aires z Argentyną, a Jaszyn przeszedł do historii stadionu River Plate jako niepokonany bramkarz.

„Talizman Jaszyna"

TALIZMANEM tym jest czapka, w której Jaszyn wystąpił po raz pierwszy w I-ligowej drużynie Dynamo i nie przepuścił wówczas ani jednej bramki. Grał w niej później zawsze, mimo że sponiewierana nieraz w błocie i przesiąknięta potem zestarzała się o wiele szybciej, niż jej właściciel. Po kilkunastu latach, straciła i swój pierwotny ciemno-szary kolor i formę, nie przestała jednak odpłacać się swemu właścicielowi za okazaną wierność.

Kiedy przyjaciele Jaszyna podarowali mu przed kilku laty nową, podobną czapkę, Jaszyn nie zdradził starej. Woził ją na każdy mecz w walizce, wychodząc na boisko chował pod sweterm, a kiedy rozpoczyna się gra, kładzie ją w rogu siatki.

Podczas finałowego meczu o Puchar Europy w Paryżu między Związkiem Radzieckim i Jugosławią, francuscy fotoreporterzy, dowiedziawszy się o przywiązaniu Jaszyna do tej maskotki, wykorzystali nadarzający się moment i... skradli mu czapkę. Jaszyn był bardzo zmartwiony utratą swej wiernej maskotki. Organizatorzy meczu zrobili wszystko, by odnaleźć czapkę, nie wyłączając nawet zaangażowania w jej poszukiwania policji. Następnego dnia Jaszyn otrzymał swoją maskotkę.

Co cechuje grę tego świetnego bramkarza? Wysoki (185 cm) i silnie zbudowany (83 kg) jest niewątpliwie rzadko spotykanym talentem piłkarskim na tej pozycji, obdarzonym przez naturę błyskawiczną szybkością ruchów, giętkością całego ciała i elastycznością a przede wszystkim stoickim spokojem w najbardziej nawet krytycznych sytuacjach.

Ale nie tylko te walory uczyniły Jaszyna jednym z największych piłkarzy naszych czasów. On jest prekursorem nowoczesnego sposobu gry bramkarzy, od niego rozpoczął się nowy styl gry na tej pozycji, polegający na tym, że bramkarz nie ogranicza się do interwencji między słupkami, lecz wychodzi na przedpole, wychodzi naprzeciw atakującym i staje się jakby dodatkowym obrońcą. Doskonałe wyczucie sytuacji, jakby instynktowne ustawienie się tam, gdzie potrzeba, oraz świetne warunki fizyczne pozwalają mu wyłapywać większość dośrodkowań przeciwnika, a tym samym ubiegać niebezpieczeństwo strzałów.

Gordon Banks

GRA JASZYNA jest obecnie wzorem dla wszystkich bramkarzy europejskich. Naśladując swego radzieckiego kolegę, zdobył wielkie laury współtwórca sukcesu reprezentacji Anglii na ostatnich Mistrzostwach Świata, o 12 lat młodszy od Jaszyna, Gordon Banks z Leicester City. Pod względem taktyki gry i pewności chwytów Anglik osiągnął już klasę Jaszyna, ustępuje mu jednak zwinnością i elastycznością ruchów. Gordon Banks jest zresztą wielbicielem swego starszego kolegi i podkreśla często, że wzorując się na nim stał się wielkim bramkarzem na Wyspach Brytyjskich i walnie dopomógł drużynie angielskiej do zdobycia tytułu mistrza świata.

Piłkarz z Leicester ma przed sobą piękną karierę, ale nie przypuszczam, żeby i on miał zostać kiedyś uznany za najlepszego piłkarza Europy, jak naprawdę „wielki" Lew Jaszyn.

Nasz rodak

WSPOMNIAŁEM wyżej o legendarnym Charlesie Grancie z powieści „Wielka gra". Czy wiecie, kto jest teraz najlepszym bramkarzem Południowej Ameryki? Nikt inny, tylko syn emigranta — rybaka z warszawskiego Powiśla, Władysław Mazurkiewicz. Rozmawiałem z nim podczas Mistrzostw Świata w Anglii. Ojczyznę swą i Warszawę zna Władek tylko z opowiadań ojca, ale bardzo chciałby tu przyjechać. Ma też trudności z językiem polskim, ponieważ ciężko pracujący ojciec rzadko bywał w domu, a matka Hiszpanka rozmawiała z nim swoim językiem. Dziś Władek, grając zawodowo w największym klubie Urugwaju, Penard Montevideo, zarabia na dostatnie życie dla siebie i rodziny, a ponieważ jest bardzo młody (22 lata), sądzi, że zdoła zabezpieczyć przyszłość również i sobie.

Mazurkiewicz nie ma tak doskonałych warunków fizycznych na bramkarza, jak Jaszyn lub Banks. Jest od nich niższy (171 cm) i dość krępy. Niedostatek wysokości i zasięgu ramion wyrównuje jednak u niego fenomenalna skoczność i sprężystość. Nie ma górnego strzału na bramkę, którego by nie dosięgnął: potrafi wyskoczyć powyżej poprzeczki lub przerzucić się z jednego rogu w drugi. Kocia zwinność i niebywała odwaga przy interwencjach w sytuacjach podbramkowych uzupełniają niepowszednie walory tego doskonałego bramkarza. Kibice urugwajscy nazywają go „Żółtą Pantera" (gra w żółtym swetrze i szarych spodenkach) i darzą go wielką sympatią, mimo iż niejednemu z nich nie w smak jest, że Ladislao ma ojca Polaco, a nie Urugwajczyka.

Ten trzeci z prawej strony, w drugim rzędzie — to Władek Mazurkiewicz, filar reprezentacji Urugwaju i najlepszy bramkarz Południowej Ameryki.

Gdybym miał sklasyfikować najlepszych bramkarzy świata, których widziałem w akcji, wymieniłbym ich w takiej kolejności: 1. **Jaszyn** — ZSRR, 2. **Banks** — Anglia, 3. **Mazurkiewicz** — Urugwaj, 4. **Grosics** — Węgry, 5. **Turgay** — Turcja, 6. **Tilkowski** — NRF, 7. **Gilma** — Brazylia, 8. **Soskic** — Jugosławia, 9. **Arvidsson** — Szwecja, 10. **Szymkowiak** — Polska. Scharakteryzowałem zaś tylko trzech pierwszych, poświęcając główną uwagę twórcy nowej szkoły gry na tej trudnej i bardzo odpowiedzialnej pozycji w drużynie.

G. ALEKSANDROWICZ

Zdjęcia:
M. Szymkowiak i Archiwum

KIEDY SĘDZIA GWIŻDŻE?.. (3)

JAK WYSOKO MOŻNA SIĘGAĆ NOGĄ?

Podczas walki o górną piłkę zdarza się nieraz, że, zanim jeden z przeciwników odbije piłkę głową, drugi „sprzątnie mu ją sprzed nosa", jak na naszym rysunku zrobił to zawodnik w białej koszulce. Czy taki wynik pojedynku o piłkę jest zgodny z przepisami?

Odpowiedź na to pytanie zależy od stopnia niebezpieczeństwa, grożącego zawodnikowi, usiłującemu zagrać głową. W naszej sytuacji zagranie zawodnika w białej koszulce jest nieprzepisowe, ponieważ nastąpiło ono z przodu zawodnika w pasiastej koszulce, który wiążąc wyskakującego z tyłu wysoko podniesioną nogą przeciwnika odruchowo tylko wstrzymał się od zagrania głową, aby uniknąć uderzenia. Przepis nie zezwala bowiem nawet na zamiar mimowolnego uszkodzenia ciała przeciwnika.

Gdyby natomiast zawodnik w białej koszulce znajdował się za przeciwnikiem i w wyskoku uderzył zaleciała piłkę nogą, zanim ten odbije ją głową, zagranie byłoby prawidłowe, ponieważ zamiar wyprzedzenia i samo uderzenie piłki przeciwnika nie zagrażałyby zdrowiu atakowanego zawodnika.

A jak wysoko można podnosić nogę? Przy przeciwniku, posiadającym piłkę przy sobie, do wysokości jego piersi, ale również bez stwarzania niebezpieczeństwa dla przeciwnika, tzn. nie wolno kopać jej silnie, lecz tylko zepchnąć ją w bok. Natomiast w bezpiecznej odległości od przeciwnika (ponad 1,5 metra) można podnieść nogę tak wysoko, jak tylko kto potrafi.

WYPRAWA PO TELEFON

JEDNYM z pierwszych zadań przydzielonych rojowi Ziem Zachodnich po rozstaniu się z pocztą polową było zorganizowanie punktu obserwacyjnego na strychu najwyższego w okolicy domu, przy Koszykowej 35 (dom ten istnieje dotychczas). Część chłopców zajęła się urządzaniem „obserwatorium", a więc wyjmowaniem dachówek w różnych punktach dachu tak, by móc ogarnąć okiem bliższe i dalsze rejony miasta; wciągnięto na strych stolik, taborety, a następnie przerzucono drut telefoniczny. Biegł on nad 150-metrowym odcinkiem Koszykowej, łącząc strych-„obserwatorium" z naszą stanicą.

Zadanie „bojowe" obserwatorów polegało na telefonicznym meldowaniu o zbliżających się samolotach nieprzyjaciela, określaniu ich typów, sygnalizowaniu, gdzie w wyniku zrzuconych bomb wybuchły pożary, w jakim rejonie padły pociski z ciężkiej artylerii, oraz gdzie wybuchły „krowy", zwane też „grającymi szafami", czyli groźne miny latające. W wyniku naszych natychmiastowych meldunków organizowano błyskawiczne akcje przeciwpożarowe, sanitarne, jednym słowem spieszono z pomocą poszkodowanym mieszkańcom zniszczonych domów.

Nocą zaś służba polegała na wypatrywaniu nadlatujących zza Wisły, cichutko, na wyłączonych silnikach, sympatycznych „Kukuruźników", które dokonywały zrzutów broni, amunicji, leków i żywności dla walczącego miasta. W meldunku trzeba było określić ilość samolotów, rejon operacji, czasami, w jaśniejszą noc, można było nawet dokładnie policzyć opadające czasze spadochronów obciążone zasobnikami.

Nim jednak pobiegły po drucie ze strychu pierwsze meldunki, musieliśmy zdobyć aparaty telefoniczne. Kiedy więc część chłopców urządzała punkt obserwacyjny, otrzymałem wraz ze Stefanem zadanie specjalne od druha Kuropatwy, który niedawno objął właśnie komendę nad naszym rojem. Zadanie polegało na przeniesieniu aparatów telefonicznych z rejonu Sejmu — Frascatti. Druh Kuropatwa podał nam dokładny adres i omówił trasę, uprzedzając, że biegnie ona na styku z pozycjami hitlerowców.

Ruszyliśmy wczesnym popołudniem. Po przeczołganiu się przez bedare pod obstrzałem ogrody dawnych ambasad przebiegliśmy pod niską barykadą na drugą stronę Alei Ujazdowskich, a następnie piwnicami domów w stronę Frascatti. W domach, przez które przechodziliśmy, znajdowali się tylko nieliczni mieszkańcy. Większość z nich przeszła już w głąb Śródmieścia w obawie przed hitlerowcami. Ci zaś, których spotykaliśmy w piwnicach, odradzali nam dalszy marsz, prorokując, że wpadniemy w ręce Niemców. Wreszcie, przy jednej z pozycji bojowych, zatrzymał nas powstaniec, oświadczając, że to jest ostatnia polska pozycja. Do południa pozycja ta była jeszcze nieco dalej, akurat tam, skąd mieliśmy wziąć telefon. Teraz teren ten jest niczyj, a tuż za nim znajdują się pozycje ukraińskich faszystów.

Długo przekonywaliśmy żołnierza, że musi nas przepuścić, że szybko się przemkniemy i zaraz wrócimy — cali i zdrowi. Nie ustępował, argumentując, że na swoim odcinku nie chce mieć zabitych... Z nieoczekiwaną pomocą przyszła nam dziewczyna z trzema menażkami zupy — obiadem dla załogi pozycji. Wygłodzeni chłopcy rzucili się na jedzenie, wesoło żartując.

Stefan mrugnął na mnie. Zrozumiałem. Jednym skokiem, nisko schyleni, przebiegliśmy przez ogródek pod sąsiedni dom i legliśmy pod murem. W powietrzu panowała niczym nie zmącona cisza.

— Ukraińcy chyba też rąbią teraz repetę — szepnął Stefan. Lubiłem go, choć miał czasem niewyparzony język. Był starszy ode mnie, palił nawet po kryjomu papierosy.

— Zostaniesz tu, Albatros, na „oku", ja skoczę do środka. W razie czego — gwizdniesz!

Stefan, czołgając się, znikł w drzwiach wejściowych pustego domu. Zostałem sam, z bijącym mocno sercem i wytężonym aż do bólu słuchem. Zdawało mi się, że od strony pozycji faszystów coś szczęknęło, niby repetowany karabin. Tak, szczęknęło. Już miałem gwizdnąć, gdy szczęk znów się powtórzył i... tuż nad sobą usłyszałem stłumiony głos Stefana:

— Albatros, trzymaj! — Stefan, lekko wychylony z okna na parterze, spuszczał mi na czarnym sznurze aparat telefoniczny, a następnie rzucił słuchawkę.

— Zaraz będzie drugi...

W chwilę potem powtórzyła się poprzednia operacja. Stefan zgrabnie zsunął się po murze i zaczęliśmy odwrót, czołgając się. Aparaty cicho podzwaniały. Wreszcie poderwaliśmy się jednocześnie, pokonując skokiem przestrzeń oddzielającą nas od pozycji powstańców. Udało się!

Tego dnia, w rozkazie wieczornym, przyznano nam stopnie wywiadowców.

*

W przeciwieństwie do sierpniowych dni, pełnych słońca, entuzjazmu, sukcesów w walkach, radosnego gwaru zachłystującej się wolnością warszawskiej ulicy, bram ze stolikami pełnymi kanapek dla walczących chłopców — wrześniowe dni niosły chłód, smętek i coraz bardziej dający się odczuwać głód.

Zaczęły się uciążliwe wyprawy na Śródmieście-Północ do browaru Haberbuscha po żyto, jęczmień i sok. Co kilka dni inna drużyna wyruszała o 4 nad ranem z plecakami i kotłami (na sok), by po przejściu pod słynną barykadą w Al. Jerozolimskich ciągle ostrzeliwaną z ciężkiej broni maszynowej z Banku Gospodarstwa Krajowego i czołgi od strony Dworca Głównego, znaleźć się wśród zgliszcz domów i zrujnowanych ulic północnej części Śródmieścia.

Z wypraw tych wracaliśmy po południu zmęczeni i głodni.

W stanicy, wszyscy wolni od służb i zajęć chłopcy przekręcali zboże w młynkach do kawy, w które zaopatrzyli nas mieszkańcy zajmowanego przez nas domu. Z tak zmielonego zboża, dwie panie, pełniące w stanicy funkcje kucharek, gotowały „zupę", a właściwie taki „kit", który polany sokiem stanowił podstawę naszego wyżywienia.

Wówczas to komenda roju podjęła decyzję o dożywianiu się drużyny we własnym zakresie. Do pokoju każdej drużyny wstawione zostały piece i wyznaczono kucharzy. U nas „etatowym" kucharzem został „Lufa", chłopak, który przyszedł, po podleczeniu ran, ze Starówki. Lufa został ranny i doślownie nadziany prochem z czołgu, który Niemcy podstępnie opuścili, pozwalając zdobyć go powstańcom.

Zdobyty czołg wjechał triumfalnie w uliczki Starego Miasta. Obległy go tłumy ludzi. W pewnym momencie potworny huk targnął powietrzem — to czołg wyładowany materiałem wybuchowym i zaopatrzony w mechanizm zegarowy rozerwał się, zabijając i raniąc dziesiątki ludzi. Wśród nich znalazł się również i Lufa.

Kucharzył więc Lufa, wymyślając przeróżne potrawy z mielonego zboża — na rzadko, na gęsto, najlepsze jednak były smażone przez niego placki z żyta. Czasami przypalały mu się, ale to tylko wtedy, gdy zaczynała go swędzić skóra. Drapał wówczas ręce lub nogi, wydłubując drobne ziarenka prochu. Śmieliśmy się wówczas, że Lufa wybuchnie nam kiedyś, gdy zanadto zbliży się do kuchennego paleniska. Wiadomo, z prochem nie ma żartów...

Pewnego razu udało mi się przynieść ze sklepu pani Przyłuskiej dwa kilogramy pięknej perłowej kaszy. — Jak przedwojenna — mówili chłopcy, ciesząc się na myśl o jutrzejszej uczcie.

— Przydałoby się do niej jakieś mięsko i sos — rzucił Jumbo.

— Skoro masz życzenie — będzie mięso. I sos też. Lufa zrobi — zapewnił poważnie Bimbo. Nikt, oczywiście, nie potraktował serio tego dialogu.

Po południu Sambo, Bimbo i Jumbo (trzej nierozłączni przyjaciele) zawołali mnie, pytając czy chcę z nimi iść po mięso. Poszliśmy. Z dwoma workami i sznurkiem. Po drodze wtajemniczyli mnie w plan akcji. Wnet znaleźliśmy się w ogrodzie, na tyłach ul. Hożej. W wykopanej ziemiance mieszkali tutaj rodzice Bimba. Dom ich był spalony. Obszerna ziemianka, pokryta belkami i deskami, wyłożona była wewnątrz starymi chodnikami. W katach stały walizki i resztki uratowanego dobytku. Na chodniku leżały dwa koty sennie mrużąc oczy. Ojca nie było. Rysiek zamienił z matką kilka słów i, pod pretekstem omówienia jakiejś sprawy, wyszedł z nią do ogrodu.

Sambo i Jumbo wkroczyli wówczas do akcji, zwabiając koty do worka. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Wkrótce dogonił nas Bimbo. Wieczorem koty były już oprawione, a Lufa zapowiadał menu na jutro: kasza z mięsem i białym sosem.

Skoro świt, poderwano dwie drużyny do niespodziewanego wymarszu. Dostaliśmy zadanie przejścia do Śródmieścia-Północ, dotarcia do gmachu Poczty Głównej na ul. Jasną, gdzie mieliśmy pomagać w ewakuacji sztabu wojskowego. Z podziemnych sal zburzonego bombami i ostrzeliwanego z samolotów gmachu wynosiliśmy maszyny do pisania i różnorodny sprzęt biurowy. Z maszynami, wpakowanymi do plecaków, z torbami pełnymi materiałów biurowych wracaliśmy późnym popołudniem do stanicy. Głodni, ale pocieszający się myślą o znakomitym obiedzie. Nawet ci, którzy jawnie manifestowali, że nie wezmą „królika" do ust, teraz przełykali tylko ślinkę. Tym bardziej, że byliśmy bez śniadania, posilając się jedynie spleśniałymi sucharami, w których nierzadko odkrywaliśmy... robaki.

W stanicy powitał nas ogromnie zafrasowany Lufa. Nie wiedział, jak nam to powiedzieć. Wreszcie wydukał: „Obiad jest, oczywiście, mięso, sos, tylko nie ma... kaszy". Okazało się, że ktoś ją „gwizdnął" ze schowka naszej drużyny. Kto? — nie wiadomo!

A więc, tak wymarzony obiad przeszedł nam koło nosa...

Cdn.

Napisał JERZY KASPRZAK. Rys. JAN ROCKI

Oto pełna wdzięku i dynamiki scena koncertu na kurzej fermie.

Dwa FORTEPIANY

NIE TAK DAWNO dzięki naszej TV, mieliśmy możność obejrzeć; nie tyle owe dwa fortepiany, ile, fenomenalnie grających na nich, dwóch młodych ludzi — Wacława Kisielewskiego i Marka Tomaszewskiego.

Film o tym muzykalnym duecie nosił tytuł „Tandem" i został zrealizowany przez Stanisława Kokesza wg scenariusza Witolda Orzechowskiego. Ci, którzy nie widzieli „Tandemu", niech żałują. Było na co popatrzeć i czego posłuchać. Dwaj młodzi pianiści zaprezentowali bowiem oprócz wspaniałych fryzur z baczkami, zręczności i naturalności zachowania się przed kamerami także mistrzowskie wprost opanowanie techniki gry fortepianowej. Piszą o nich krytycy: „Rozrywkowe przeboje grają tak jak muzykę klasyczną, a klasykę tak jak przeboje".

Jak doszło do powstania tego znanego już choć jeszcze młodego wiekiem duetu?

Mówią o tym sami panowie K—T.

— Przyjaźń nasza zaczęła się jeszcze w szkole. Ugruntowały ją wspólne przeżycia, zainteresowania, wspólne egzaminy. Potem występy w klubie jazzowym zadecydowały o powstaniu naszego duetu fortepianowego.

— Co lubimy? Lubimy przygody, filmy westernowe, wycieczki, książki i dziewczęta. Ale najbardziej pasjonuje nas oczywiście muzyka i studia w Wyższej Szkole Muzycznej, a także zbliżające się recitale dyplomowe.

Wacław Kisielewski i Marek Tomaszewski występowali już dwukrotnie w programie paryskiej „Olimpii" oraz koncertowali dość długo w USA i Kanadzie. Znani są też telewidzom NRF i Jugosławii. W tym roku mają zaproszenie na występy po ZSRR.

Fortepianowy duet K—T występuje od czasu do czasu na estradach krajowych i w programach rozrywkowych polskiej TV. Jednak dopiero film „Tandem" przyniósł im zasłużoną sławę i pozwolił w pełni ocenić ich umiejętności. Zresztą nie tylko muzyczne umiejętności. Panowie Kisielewski i Tomaszewski okazali się też świetnymi aktorami.

Doskonale radzą sobie podczas całej, dość zwariowanej, akcji filmu z przebieraniem się w coraz to inne kostiumy z różnych epok. Przepięknie gonią się, uciekają po schodach i dachach, tańczą razem z Alicją Boniuszko (primabaleriną), polują w jakimś dziwacznym XIX-wiecznym parku, flirtują z pannami w stylowym zamku z kandelabrami, jeżdżą na staromodnym rowerze i oczywiście bez przerwy grają na fortepianach. Grają w przedziwnej stale zmieniającej się scenerii. Przed Pałacem Kultury i na Starym Mieście, na jadącej ciężarówce i wśród drzew, a nawet... na kurzej fermie, wśród gdakania kur i trzepotania kogucich skrzydeł. Ich muzyka jest nie tylko pełna wdzięku i dowcipu, ale doskonale współbrzmi ze sobą, co przecież nie jest łatwe w wypadku dwóch jednocześnie grających instrumentów.

Dwóch utalentowanych pianistów chętnie słucha dziś cała Polska bez względu na wiek i różnice muzycznych zainteresowań.

Młodzi widzą w nich swoich przedstawicieli i szaleją za ich rozrywkowymi melodiami. Starsi z równą sympatią słuchają utworów klasycznych podanych w lekkiej „odmłodzonej" niejako formie. I tak muzykalni panowie K—T i ich dwa fortepiany pogodzili niespodziewanie dwa pokolenia melomanów. Tych z kręgu bigbeatu i jazzu oraz tych drugich zagorzałych tradycjonalistów, dla których istnieje tylko Bach i Mozart.

A film „Tandem" ma być powtórzony niebawem w polskiej telewizji. Nie przegapcie go!

ALICJA WIELGOŁAWSKA

W sprawie „Księżniczki"

● Gdy przeczytałem ostatni odcinek powieści Janusza Domagalika „Księżniczka", rozczarowałem się. Przypuszczałem, że historia Irki zakończy się dobrze, że w jej klasie zapanuje przyjacielska atmosfera. Jednak pan Domagalik zakończył swą powieść inaczej, można powiedzieć w sposób tragiczny.

Po dłuższym zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że przy takim zakończeniu opowiadanie to stało się bardziej wartościowe. Może ktoś zapyta — dlaczego? Uważam, że właśnie takie załatwienie sprawy pozwala nam lepiej poznać krzywdę, jaką wyrządzono Ircе, wywołuje w nas uczucie żalu do tych, którzy byli źli dla tej dziewczyny i przyczynili się do jej cierpień.

Natomiast, gdyby powieść ta skończyła się tak, jak sobie wyobrażałem, utraciłaby swoją główną myśl. Bo „Księżniczka" to nie tylko smutne opowiadanie, to historia wielu „Księżniczek" i „Książąt" znajdujących się między nami. Tylko, że my ich nie dostrzegamy, a przecież oni cierpią tak samo jak ich powieściowa rówieśniczka (bs).

Grzegorz Gaździak
Racot

UWAGA!

DRUHNY I DRUHOWIE ZASTĘPOWI!

WYDAWNICTWO HARCERSKIE

poleca

serię cennych książek do biblioteczki drużyny, zastępu. Wszyscy, którzy w terminie do dnia 25 maja 1967 r. nadeślą do Wydawnictwa Harcerskiego zamówienie na 4 książki z podanego zestawu, wezmą udział w losowaniu kompletu narzędzi dla młodych majsterkowiczów, aparatu fotograficznego „Druh" i nagród pocieszenia.

SERIA „ZASTĘPOWEMU NA UCHO"

Książki tej serii zawierają pomysły ciekawych i pożytecznych zadań, przeznaczonych dla zastępów w drużynach młodszoharcerskich.

odciąć wypełnić przesłać

..... M. Dańkowska — BŁĘKITNY KRZYŻ — zł 4,60.
TEMATYKA ZADAŃ: ratownictwo w zimie, opieka nad zwierzętami, dziennikarstwo, szkoła wczoraj i dziś.

..... B. Gajdeczkowa, P. Rządca — CHATA ROBINSONA — zł 4,60.
TEMATYKA ZADAŃ: wyprawa w przyszłość, historia, wędkarstwo.

..... B. Gajdeczkowa, P. Rządca — UWAGA! BAKTERIA! — zł 4,—.
TEMATYKA ZADAŃ: zdrowie, muzyka, rady narodowe, grzeczność na co dzień.

..... J. Stykowski — PALI SIĘ! — zł 4,60.
TEMATYKA ZADAŃ: wyścigi samochodowe, pożarnictwo, filatelistyka, turystyka.

Zamawiam i proszę o przesłanie książek za zaliczeniem pocztowym.

(nazwisko i imię)

(poczta, powiat)

(miejscowość, ulica, dom)

Przesyłkę zobowiązuję się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

(data) (podpis)

DRUK

miejsce na znaczek

WYDAWNICTWO HARCERSKIE
WARSZAWA
ul. Konopnickiej 6

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Warszawa ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 543 T-41

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

SKAŁY na OCEANIE

Przypominamy wszystkim miłośnikom podróży i przygód, że 31 lipca 1965 roku wyruszył ze Szczecina w podróż dookoła Ameryki Południowej polski jacht „Śmiały". W ciągu 16 miesięcy pięcioosobowa załoga przebyła trasę większą niż obwód równika (22.841 mil morskich, czyli ponad 42.000 kilometrów), odwiedziła 14 państw i 31 portów.

O naukowych celach wyprawy pisaliśmy w 90 numerze „Świata Młodych" w dniu 11 listopada 1966 r., bezpośrednio po powrocie „Śmiałego" do Szczecina.

Dziś, na specjalne zamówienie Staszka Dobrowolskiego ze Szczecina, drukujemy fragment wspomnień z podróży kapitana jachtu, magistra Bolesława Kowalskiego.

Kapitanowi dziękujemy, a Wam życzymy przyjemnej lektury.

NA OCEANIE fala jest zawsze. Nawet przy doskonale bezwietrznej pogodzie, woda o powierzchni gładkiej jak olej, ciężko wznosi się i opada w nieustannym rytmie długich, łagodnych fal. Załoga — przyzwyczajona już do stałego kołysania — nie odczuwa długich, przeszło stumetrowych, miękkich wzniesień. W spokojnym, równym wietrze pasatów powierzchnia fal wzdyma się nieco i ciemnieje marszczona w bruzdy drobniejszych załamań. Czasem syknie pianą, tu i ówdzie bielącą grzbiety niewielkich pagórków.

Ale — niezależnie od pogody — na przybrzeżnych płyciznach ocean ożywia się. Na piasku czy skałach leniwe dotychczas fale piętrzą się i nabierają szybkości. Rosną stromo do trzy- czterometrowych, zwieńczonych pianami grzywaczy, i, grzmiąc, z potężną siłą wściekle taranują przebojem strome brzegi lub toczą się daleko w głąb lądu po piaskach rozgrzanych plaż.

Od sześciu dni niesie nas przez ocean pasat południowo-wschodni. Płyniemy do Skał Św. Piotra i Pawła. Do garści kamieni rzuconej kapryśną ręką natury na środek Oceanu Atlantyckiego. Dokoła tych skał, ledwie kilkanaście metrów wystających ponad powierzchnię wody, rozciągają się głębie liczące 3.500 — 4.000 m.

Zgodnie z prowadzoną przez nas skrupulatnie nawigacją astronomiczną, do tych legendarnych skał powinniśmy dopłynąć dzisiaj — 12 października 1965 r., około południa. Wszyscy jesteśmy podnieceni. Bądź co bądź ostatni skrawek ziemi — jałowe, spalone podzwrotnikowym słońcem Wyspy Zielonego Przylądka — widzieliśmy 12 dni temu. Przeszło dwa tysiące kilometrów prowadzi nas jedynie słońce i księżyc. Jeszcze dwie — trzy godziny i otrzymamy wynik naszego egzaminu z nawigacji astronomicznej.

Dla wszelkiej pewności „oko" wędruje na maszt już o dwunastej — w samo południe. Nie trzyma się jakoś rąk codzienna naprawa żagli. Puszki z farbami stoją opuszczone przez malarzy. Wszyscy z zadartymi głowami wpatrujemy się w siedzącego wysoko, na salingu obserwatora. Ciągle nic. Niesiony równym półwiatrem „Śmiały" chyli się lekko w ogromnym kole widnokręgu pokrytym jednostajną łuską niezmiennie biegnących fal.

Po godzinie oczy już bolą od upartego wpatrywania się w monotonną płaszczyznę wód. Chwilami wydaje się, że zza różnej linii widnokręgu wynurza się coś ponad wodę — to fala. Znów coś bieleje w oddali.

— Skały! Tak skały! Pięć stopni w prawo od kursu! O 13.45 widać je już z pokładu — mała poszczerbiona grupka kamieni pobielonych na szczycie ptasim guanem.

Dwie godziny później jesteśmy już przy skałach. Luźno rozrzucone drobniejsze głazy otaczają centralny masyw, który w najwyższym punkcie osiąga wysokość 19 m. Skrajne kamienie odległe są od siebie ze dwieście metrów, a szerokość tego mikro-archipelagu mierzy nie więcej niż 50 metrów. Podchodzimy od zawietrznej.

Kropka na mapie, którą oznaczone są skały, niewiele, a właściwie nic, nie mówi o rzeczywistym ukształtowaniu wysepki. Już nieco więcej dowiadujemy się z morskiego przewodnika — locji, która wspomina o zatoczce zlokalizowanej w środkowej partii skał.

Wydaje się, że najdogodniej będzie wejść do tej zatoczki i tam przycumować. Nie mogę jednak ryzykować wchodzenia pomiędzy kamienie, bez dokładnego zbadania terenu. Muszę znać dokładnie wielkość, ukształtowanie i głębokość zatoczki. Najpierw więc popłyną tam bączkiem Wojciech i Krzyś, by zbadać zatoczkę i sporządzić jej szkic. Na podstawie ich informacji zaplanuję manewr wejścia.

„Śmiały" na Oceanie Atlantyckim.

Wejdziemy na silniku. Mimo ciasnoty miejsca i braku wstecznego biegu musimy wchodzić na tyle szybko, by pokonać piętrzące się na progu wejściowym fale i prądy. Tuż przed jachtem popłynie na bączku Krzyś. Będzie nas pilotował, a natychmiast po wejściu „Śmiałego" do zatoki wyniesie rzutkę na brzeg. Przy jej pomocy ściągnie cumę rufową i obłoży ją na kamieniach. Regulując z pokładu długość cumy wyhamujemy szybkość jachtu, równocześnie podchodząc dziobem do skały, na której czeka już na cumę dziobową Wojciech.

Wchodzimy od zawietrznej, ale i tutaj przybój ostro atakuje strome brzegi. Ogromne jęzory piany z hukiem walą białymi łbami w sterczące z wody głazy, wdzierają się w każdą wyrwę i szczelinę. Wzburzone wody wąskiego wejścia forsujemy szczęśliwie.

— Silnik stop! — Prawie na wprost wejścia przez płytką rozpadlinę w skalnym murze co jakiś czas wtaczają się wielkie fale atakujące wyspę od nawietrznej. Mimo to woda zatoki jest gładka i wydaje się spokojna. Jest wprost niezwykle czysta. Wyraźnie widać każdy kamień dna, ławice ryb i pojedyncze, większe sztuki — to rekiny.

Wiosłując energicznie Krzyś dopływa już z rzutką do stromego brzegu. Kiedy od kamiennej ściany dzieli go już może metr tylko, woda podnosi się nagle, dźwiga bączek ze dwa metry w górę, rzuca nim o skały i szybko opada. Bączek zsuwa się po stromiźnie, zaczepia o ostre krawędzie, przewraca się i spada do wody do góry dnem.

Krzysiek walczy z rzutką, chroni bączek przed roztrzaskaniem o kamienny brzeg i równocześnie stara się wydostać z wody — poza zasięg kręcących się już w pobliżu rekinów.

Wszystko to trwa sekundy. Podajemy Wojciechowi rzutkę cumy dziobowej. Krzysiek oswobodził się nareszcie z rzutki — puścił jej koniec do wody i zajmuje się już tylko ratowaniem bączka.

Sprawa jest przesądzona — manewr się nie powiódł. Byle tylko udało nam się teraz uciec cało z tego piekielnego kotła.

— Ster lewo na burt! — Dziób powoli przesuwa się ponad rafami. Jacht skręca niechętnie, co chwilę wznosząc się, to znów opadając na wdzierających się do zatoki falach. Każdy przybór wody w zatoce zbliża nas do skał. Na szczęście ta sama woda ustępując znów nas od nich oddala.

Wojciech oddaje rzutkę cumy dziobowej. Zakładanie cumy z dziobu bez obłożenia rufowej mija się z celem. Jedyne, co można i trzeba teraz zrobić, to jak najszybciej uciekać. Jeśli tylko zdołamy. Na szczęście jacht ciągle skręca, chociaż sunie dziobem już bardzo blisko skał. Jeszcze chwila i stajemy na wprost kanału wyjścia.

— Tak trzymać! — to do sternika i — Silnik, cała naprzód!

Puszczona przez Krzysia a przez nas zapomniana rzutka porwana śrubą owija się dokoła wału, zanim zdążyliśmy nabrać szybkości. Na kotłującej się wodzie wąskiego kanału silnik zwalnia obroty, krztusi się, staje. Teraz nie dziób, a burty miotanego prądami jachtu niemal ocierają się o skały. Jurek mocuje się z silnikiem, a ja czekam na uderzenie.

Znów się udało. Zapalił! Silnik zapalił!

— Cała naprzód!

„Śmiały" rusza, nabiera szybkości i piekielna zatoka zostaje nareszcie za nami.

Rozważam możliwości innych, bezpieczniejszych manewrów. Nie lubię ustępować przeciwnościom. Tym razem jednak ryzyko jest zbyt poważne. Następna próba wejścia — choćby najstaranniej przemyślana — też może skończyć się niepowodzeniem, a posadzenie jachtu na tych bezludnych skałach, 1.000 mil od najbliższego lądu to perspektywa nie do przyjęcia. Jacht będzie więc przez dwa dni dryfował w pobliżu skał, a my dostaniemy się na nie kolejno — bączkiem.

BOLESŁAW K. KOWALSKI